

A. Brun: Bruno Schulz – i co dalej?

Przez czterdzieści z górą lat żył sobie na głuchej prowincji, w ponurym domku parterowym, otoczonym suchotniczym ogródkiem, uczył chłopców rysunków i od czasu do czasu układał w kunsztowne nowelki wspomnienia wyblakłej, prowincjonalnej młodości. Znajomi, którzy dla Schulza mieli zawsze dużo wyrozumiałości i trochę sentymentu, uwalali jego pisanie za rozpaczliwą i bardzo nieszkodliwą próbę przewyciężenia druzgocącej zaiste monotonii, którą huczał smętny domek na odludziu. Mówiłem kilka razy z Schulzem, raz nawet przenocowałem u niego i miałem możliwość zetknięcia się z atmosferą, która otaczała pisarza od niepamiętnych lat. Trzeszczały podłogi, otwierały się drzwi co chwila, człapały jakieś nogi niewidoczne za oknem, tu i ówdzie mijały pokoje jakieś siwe kobiety. Dużo było pokoi w domku, ale nikt w nich nie mieszkał. Pamiętam zwłaszcza jeden, w którym stała zaproszona palma – i nic więcej. W innym znów było pełno obrazów na ścianach, ale obrazy były tak omotane pajęczyną, że trudno było rozeznać, co one właściwie przedstawiają. Palmy, obrazy, pluszowe otomany, nieprawdopodobna ilość barwnych poduszek i – pustka, która waliła na zmysły, wysuwała się natrętnie na pierwszy plan, wyłaziła z każdej szczeliny. A wśród tego wszystkiego Bruno Schulz z zaciśniętymi ustami i błędnym wzrokiem, z głuchą pasją dobierający się do ciemnych zakamarków, strychów, zapomnianych kątów, wечно wężący za bliżej nieokreśloną tajemniczością, w której spodziewał się znaleźć rozwiązanie dla swego zdeformowanego życia.

Pamiętam, gdy raz przeczytał mi z rękopisu jedną ze swych „opowieści”. Była to relacja o chłopie, który siedzi zaszyty w krzakach i załatwia swą naturalną potrzebę. Nic więcej w tej opowieści nie było. Ale jaką pasją to kipiało, jakim żarem przesycone było każde słowo, z jaką powagą i skupieniem tchnął każdy szczegół. W pierwszej chwili byłem wręcz oszołomiony. Jakiś błahy kawał istnienia został tu ożywiony olbrzymim zasobem sztuki i domagał się równouprawnienia. Po chwili jednak, gdy sugestywność przestała działać, padło pytanie: no dobrze – ale co dalej? Schulz na takie pytania nie odpowiadał wprost, tylko dawał do zrozumienia, że pisanie jest dla niego sprawą najzupełniej prywatną. Jeden lubi turystykę, drugi kobiety, trzeci grę hazardową, on zaś wyżywa się w swoich fikcjach. Później czytał o zwariowanych sprawach swego ojca, o jego fantastycznych przygodach na strychu wśród kur i gałganów, o jego nieprawdopodobnych walkach z domownikami.

I znów padały pytania: po co to? I nieskończone dyskusje o tym, że pisanie nie może być prywatną rozrywką, że działają tu pewne głębokie, utajone kompleksy i zboczenia. Raziło to kurczowe szukanie anomalii, ten tchórzliwy niemal lęk przed światłem dnia i prostą, nieskomplikowaną sytuacją. Rzeczywistość

była tu śmiertelnym wrogiem, którego się unikało, prawda była tylko koszmarem, nawet sny były potwornie powykrzywiane. Nic nie istniało w tym domku i jego właścicielu naprawdę, wszystko było komentarzem, kursywą. W tym duszącym klimacie rodziły się halucynacje Schulza.

Raz, w przystępie jasnowidzenia, Schulz rzucił słowo o potrzebie odnowienia swego wewnętrznego inwentarza, o konieczności uspołecznienia swej zatrutej sztuki. Wskazałem mu wówczas na leżące pod jego nosem Zagłębie Naftowe, siedlisko pracy, wyzysku i walki. Wyjdź z tej zatęchłej oranżerii do spraw i ludzi, dla których świat jest areną, a nie teatrykiem marionetek, tam w śmiertelnych zapasach wykuwają się nowe wartości – pomóż im swoją sztuką budować nową rzeczywistość. Schulz kiwał głową i siedział dalej w swej upiornej rupieciarni. Więc może jednak to wszystko zostanie w domku i zapadnie się wraz z nim? Ależ nie! Po kilku latach wyszła książka *Sklepy cynamonowe* – i koniec z prywatną rozrywką. Bruno Schulz wkroczył do literatury i od razu stał się wybitną pozycją. Co więcej – stał się modą. Pojawiają się o nim entuzjastyczne artykuły, drukują go czołowe czasopisma, lansują go uznane sławy.

Zapewne sam Schulz jest niemało zdziwiony tym nagłym uznaniem. Pisząc swoje fikcyjne opowiadania, był przekonany, że czytać je będą tylko liczone jednostki, bardzo delikatne i przewrażliwione natury, dla których deformacja i anomalia czynią i surowe życie znośniejsze i których znieczulone organizmy potrzebują zastrzyku fantastyki, by działać jako tako prawidłowo. Poetyczna musztarda, czy coś podobnego. Aż oto – patrzcie się – zawodowcy starają się uczynić z Schulza pisarza popularnego, pisarza dla mas. Na konkursie „Wiadomości Literackich” padły na niego głosy kilku wybitnych poetów, którzy podkreślali z satysfakcją, że Schulz jest twórcą, którego Polsce właśnie teraz potrzeba, bo Schulz nie hołduje – społecznikostwu.

Oto węzeł zagadnienia. Coraz bujniej rozwijająca się literatura społeczna, walcząca, wkraczająca aktywnie w dzisiejszą rzeczywistość polską (Kruczkowski, Wasilewska, Drzewiecki i in.) napędziła strachu oficjalnej literaturze, filarowi istniejącego porządku. Stąd poszukiwanie za tamą przeciwko temu niebezpieczeństwu, stąd uwieńczenie nagrodą poety religijnego Bąka, stąd – propaganda ekshibicjonizmu Schulza. „Pawim piórom” i „Kwaśniakom” kadenizm usiłuje przeciwstawić *Sanatorium pod Klepsydrą*. Literaturze orężowi walki o nowy obraz świata – literaturę oderwaną od palących zagadnień, skierowaną wyobraźnię i myśl czytelnika w dziedziny neutralne, w których upiorne fikcje poetyckie wyprawiają harce samostarczalności.

Oficjalna literatura, ta w mundurze i z orderami, wskazując na Schulza, mówi do młodych literatów: Cóż was obchodzi napór rzeczywistości? Nie waszą jest rzeczą rozprawiać się z rzeczywistością, na to są władze. Wy „organizujcie wyobraźnię artystyczną narodu”, powiększając skalę jego wrażliwości, odkrywajcie nowe wzruszenia i sensacje ducha. Czyli: popatrzcie na autora *Sklepów*, jaki straszliwie obojętny na konkretne zagadnienia życia, jak sobie zupełnie nie chce

zdać sprawy z coraz bardziej pogłębiających się konfliktów socjalnych i politycznych. Weźcie sobie przykład od niego, jak można pomnożyć dobra społeczeństwa, nie jątrząc go ani złorzecząc. Koronki, wieżyczki, świecidełka, trochę obłędu, fosforycznych wizyj, idealizowanej rupieci i upław wspomnień. Wszystko to pod szyldem autentycznej sztuki, oto, czym powinno wykazać się przed nami młode pokolenie literackie.

A tymczasem wszyscy postępowi intelektualiści konsolidują swe siły i w obliczu coraz groźniej narastającej katastrofy angażują się w walce z barbarią. Że sił tych jest niemało, wykazał Kongres pisarzy w Paryżu, który obradował pod hasłem obrony kultury. Wszędzie na szerokim świecie od dawna już pozamykano wszelkie „sklepy cynamonowe” i klepsydrowe sanatoria, by zmierzyć się z rzeczywistością. Literatura, którą tworzy Bruno Schulz i ci, którzy go już naśladowają, musi w konfrontacji z tą rzeczywistością prędzej czy później skapitulować.

Pierwodruk: „Chwila” 1935, nr 5921, s. 9. Opracował Piotr Sitkiewicz.